

POWIEŚĆ UTRZYMANA W KLIMACIE PROZY STEPHENA KINGA

STEFAN

DARDA

DOM NA WYRĘBACH

POWIEŚĆ GROZY

Nominacja do **Nagrody Fandomu Polskiego**
im. Janusza A. Zajdla

Nominacja do **Nagrody Sfinks 2008**

Najlepsza **Książka na Lato** w konkursie portalu Granice

VIDEOGRAF

DOM NA WYRĘBACH

STEFAN

DARDA

DOM NA WYRĘBACH

Redakcja
Dorota Strojnowska

Projekt okładki
Marek J. Piwko

Ilustracja na okładce
Dariusz Kocurek

Redakcja techniczna
Damian Walasek

Korekta
Zespół

Skład i łamanie
Grzegorz Bociek

Wydanie II, październik 2009

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35
fax 32-348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2012
© text by Stefan Darda

ISBN 978-83-7835-030-9

Dla moich Rodziców

*Dobrze jest umieć odróżniać życie
od procesu powolnego umierania.*
Marek Leśniewski

Przedmowa

Życie składa się z chwil. Ulotnych, niezapomnianych, takich, których nie chce się pamiętać i takich, które wgrzają się w świadomość, nie mając za żadną cenę ochoty jej opuścić.

Pamiętam chwilę, kiedy późną nocą, gdzieś w starym, drewnianym domu na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim, przy kieliszku wódki, usłyszałem od starszego człowieka opowieść o młodej, zmarłej przedwcześnie dziewczynie. Została pochowana w białej sukni, a potem, po długim czasie, otworzono trumnę i dziewczyna leżała zupełnie niezmieniona przez kilka chwil, dopóki podmuch wiatru nie zamienił jej w proch. Nie mam najmniejszych podstaw, aby twierdzić, że to nieprawda. Mało tego, uważam, że takich niezwykłych, a jednocześnie prawdziwych opowieści są tysiące i mogą tylko żałować, że nie uda mi się ich wszystkich poznać.

Wielu ludzi pomogło mi czytając, wyrażając swoją opinię o tekście, zachęcając do kontynuowania opowieści. Wszystkim bardzo dziękuję. Bez Was ta książka by nie powstała.

Dziękuję też Portalowi Sukcesu (www.portalsukcesu.pl). To miejsce w sieci, gdzie każdy może spróbować swoich sił

na polu artystycznym. Dzięki temu portalowi nabrałem wiary, że mogę napisać coś, co się spodoba. Zaczęło się od poezji, a następnym krokiem jest *Dom na wyrębach*.

Przede wszystkim jednak chcę podziękować Panu Marianowi Łubkowskiemu, który opowiedział mi historię będącą punktem wyjścia do powieści oraz mojej kochanej Siostrze, Urszuli, której uwagi były mi bardzo pomocne.

Akcja książki rozgrywa się w głównej mierze w przysiółku Wyręby na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim. Tak naprawdę nie ma takiego miejsca. Nie ma też pobliskiego Kostrzewa, a wszystkie osoby pojawiające się w powieści są fikcyjne. Czy jednak opisywane zdarzenia nie mogły się zdarzyć naprawdę? Tego już nie jestem do końca pewien. Brnąć przez nasze chwile, stykamy się czasem z czymś, czego nie da się wyjaśnić. Tak więc, Drogi Czytelniku, zapraszam Cię do domu na Wyrębach. Usiądź wygodnie w fotelu, włącz dobrą muzykę i... na wszelki wypadek zapal obok świecę. Nigdy nie wiadomo, czy właśnie ona nie jest najlepszą ochroną przed tym, czego nie doświadczyłeś nawet w najgorszych koszmarach.

S.D.

Część 1
(lipiec–sierpień 1995)

1.

Spojrzenie zza płotu niemal paliło plecy. Nie lubię, gdy ktoś obserwuje z ukrycia, co robię; do tamtego dnia nie wiedziałem, że kiedy mam dość upału i całonocnej podróży rozklekotaną furgonetką, to takie podglądactwo irytuje mnie jeszcze bardziej. Odwróciłem się i wyzywająco patrzyłem na migoczącą zieleń okalającą sąsiednie, oddalone o kilkadziesiąt metrów gospodarstwo. Kiedy, po upływie kilkunastu sekund, już zaczynałem mieć wątpliwości co do swojej intuicji, dostrzegłem ledwo zauważalny ruch. Jakaś postać przemknęła w kierunku wejścia do domu. Skrzypnęły drzwi.

— Nie ma co — powiedziałem do siebie. — Pięknie się tu wita nowych sąsiadów.

Gadanie na głos pogłębiło tylko stan rozdrażnienia. Przyszło mi do głowy, że jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce wyląduję w jakimś bezpiecznym przytułku dla nieszkodliwych wariatów. W końcu minęło już kilka miesięcy od rozvodu, więc powinienem się wreszcie zacząć przyzwyczajać do samotności.

Taszcząc pudła z samochodu do domu, po raz kolejny rozmyślałem o swojej sytuacji. Jeszcze rok temu świetnie ro-

kujący doktor praw, zięć rektora jednego z najlepszych polskich uniwersytetów, mógł mieć wszystko, czego tylko zapragnął. Wygodne życie, bezproblemowa habilitacja, ciepła posadka... Pech chciał, że świetnie rokujący doktor zapragnął wdać się w bliższą interakcję z jedną ze swoich studentek. Interakcja była szalenie podniecająca do momentu, kiedy późnym wieczorem do gabinetu na wydziale prawa niespodziewanie weszła jedna z bliskich koleżanek żony. Puf! Podniecenie i kilkunastoletnie małżeństwo w jednej chwili stały się przeszłością. Może gdyby zdrada nie miała miejsca właśnie tam, może gdyby nie wiązała się z tak wielkim upokorzeniem Moniki, może gdybyśmy dochrapali się choć jednego potomka, może, może...

— Było, minęło — rzekłem.

Tym razem wydałem z siebie nerwowy chichot. Musi jeszcze chyba upłynąć trochę czasu. Zresztą — nie oszukujmy się — to małżeństwo i tak od kilku lat było tak naprawdę fikcją. Dwoje obcych już sobie ludzi pałętało się po sporym apartamencie, raz po raz wymieniając zdawkowe uwagi na mało znaczące tematy. Fakt, było się do kogo odezwać, ale może czasem lepiej gadać do samego siebie niż rozprawiać o dupie Maryni?

Zmęczone ramiona domagały się kilku chwil odpoczynku. Upał był nie do zniesienia. Powietrze drgało konwulsyjnie, zawieszone pomiędzy rozpaloną ziemią a słońcem, które akurat w tym dniu postanowiło pokazać, na co je stać. Duszej ciszy nie rozpraszał żaden dźwięk, nie licząc leniwie odzywającego się tu i ówdzie szeleszczenia świerszczy. Cóż, lipiec roku 1995 był mało łaskawy dla eks-mężów dokonujących przeprowadzki do nowego miejsca zamieszkania.

Zamarzyłem o chłodnym piwie. Miałem w samochodzie kilka butelek, jednak dotknięcie jednej z nich rozwiało wszelkie wątpliwości. O chłodnym piwie mogłem zapomnieć, podobnie jak o zeszłorocznym śniegu. Otworzyłem butelkę, pociągnąłem kilka łyków ciepłej zupy i popatrzyłem na moją

posiadłość, w której zamierzałem spędzić co najmniej kilka najbliższych lat, a — kto wie? — może nawet resztę życia.

Parterowy, drewniany dom, zbudowany jakieś dwadzieścia lat wcześniej, oszalowany był deskami, od których pasudnie odłaziła jasnobrązowa farba. Eternit na dachu również pozostawiał wiele do życzenia, nie mówiąc już o kominie, który wręcz błagał o natychmiastową reanimację. Okna za to prezentowały się całkiem przyzwoicie; zdaje się, że poprzedni lokator tuż przed opuszczeniem tego świata zatroszczył się o to, aby przez następnych kilkanaście lat chłód mu zbyt nie dokuczał. Dodatkowo zabezpieczały je solidne okiennice mocowane śrubami od wewnątrz. Dębowe drzwi wejściowe ozdobione zostały ręcznie wykonanymi, pomalowanymi na czarno okuciami.

„Durkacz najwidoczniej hołdował zasadzie: «Bezpieczeństwo przede wszystkim»” — pomyślałem.

Z zadowoleniem popatrzyłem na porządy, antywłamaniowy zamek, który zamontowałem podczas poprzedniego pobytu. Jak widać, nowy mieszkaniec nie pozostaje w tyle. Uśmiechnąłem się do siebie i rozejrzałem dookoła.

Przestrzeń wokół domu zdradzała ślady kilkuletniego zaniedbania. Bujne trawy dawno porosły niewielki ogródek i coś, co niegdyś zapewne było trawnikiem. W sadzie roilo się od połamanych gałęzi, porzrzucanych przez wiatr gdzie popadło. Z budynkiem mieszkalnym sąsiedował murowany domek gospodarczy, mający służyć mi w przyszłości za garaż. Całość ogrodzona była starannie ustawionym płotem.

Nad zakupem nie zastanawiałem się długo. Syn poprzedniego właściciela nie żądał kokosów; sto pięćdziesiąt milionów starych złotych (przeliczanie kwot na nowe złote wciąż sprawiało mi spory problem) nie stanowiło wygórowanej kwoty, tym bardziej, że pod odrapanym szalunkiem domu znajdowały się dębowe bale w doskonałym stanie. Prędko dobiliśmy targu, ciesząc się, jaki to świetny interes udało nam się zrobić. Ja byłem zadowolony, bo wiedziałem, że trochę

pracy i nieco pieniędzy mogą zamienić nędznie wyglądające obejście w moją wymarzoną oazę spokoju, spadkobierca natomiast radował się zapewne, że po trzech latach udało mu się wreszcie pozbyć domu w tak mało atrakcyjnej okolicy. Do najbliższej asfaltowej drogi były prawie trzy kilometry przez las, do sklepu i kościoła — ponad pięć. O telefonie nie było nawet co marzyć. Jediną oznaką cywilizacji były stare słupy, dzięki którym energia elektryczna docierała do dwóch gospodarstw położonych wśród lasów i nielicznych pól. Dam głowę, że po wyjściu od notariusza Józef Durkacz Junior upił się na umór.

Wróciłem do pracy. Przenoszenie mojego życiowego dorobku zajęło mi ponad połowę dnia. Większość rzeczy umieściłem na środku największego pokoju. Rozparcelowaniem majątku zamierzałem zająć się następnym razem.

Spojrzałem na zegarek. Obie wskazówki przytuliły się do czwórki, więc do wieczora pozostało sporo czasu. Obiecałem, że następnego dnia oddam pożyczone cudo, które stało przed domem. Przeszło mi przez myśl, że mógłbym wyruszyć od razu, jednak mój organizm zaprotestował gwałtownie, przypominając, że nie jestem już młodzieniaszkiem. Niechętnie przyznałem mu rację. Dwie noce za kółkiem, bez chwili snu, mogły spowodować problem z dojechaniem do Wrocławia w jednym kawałku.

Rozłożyłem na podłodze materac i przykryłem się śpiworem. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że nie zazdroszczę facetom siedzącym w tej chwili w dusznych samochodach. Nie udało mi się doprowadzić tej złośliwej myśli do jakiegoś sensownego końca. Przyjemny chłód i łagodny półcień sprawiły, że szybko zapadłem w głęboki sen.

* * *

Było już ciemno, kiedy zamknąłem okiennice, przymocowałem je od wewnątrz stalowymi śrubami i zamknąłem drzwi mojego nowego domu. Słodki zapach wieczoru, po-

łączony z odgłosami gorącej nocy, chciało się chłonać bez końca. Bóg jeden wie, jak bardzo nie miałem ochoty wsiadać do rozklekotanego transita po to, by tak niezwykłą noc spędzić w jego wnętrzu, telepiąc się na drugi koniec Polski. Z żalem wrzuciłem pierwszy bieg.

— Jeszcze ci się znudzą te samotne wieczory — pocieszałem się smętnie, włączając radio, w którym akurat Rod Stewart chrypiał, że dokądś tam żegluję. Pożyczyłem mu pomysłów wiatrów w nadziei, że odwzajemni życzenia.

Powoli wytoczyłem się na piaszczystą drogę. Księżyc świecił tak jasno, że włączenie reflektorów zdawało się być niepotrzebną ekstrawagancją. Po chwili w tylnym lusterku zobaczyłem oddalający się blask sączący się z okna domu mojego nowego sąsiada. Zastanawiałem się, dlaczego nie używa elektryczności, tylko jednej, co najwyżej dwóch dopalających się świec.

Miałem nadzieję, że ten facet nie napyta mi biedy.

2.

Niecałe dwa tygodnie zajęło mi definitywne zamknięcie moich wrocławskich spraw. Nigdy nie byłem zagorzałym fanem spędzania czasu w urzędowych ogonkach i tłoczenia się przed okienkami bankowymi. Zniosłem jednak to wszystko mężnie, jak na dużego, czterdziestoletniego chłopca przystało. Wciąż miałem przed oczami mój nowy dom na wschodnich rubieżach i ta wizja sprawiała, że zabiegi związane ze zmianą miejsca zamieszkania nie były aż tak bardzo bolesne. Szczerze mówiąc, nie mogłem się doczekać chwili, w której minę tablicę z napisem „Wrocław” i rozpocznę — jak to mówią — nowy rozdział życia.

A przyszłość rysowała się w całkiem przyjemnych barwach. Zdążyłem już przekonać samego siebie, że moje mał-

zeństwo i tak nie miało perspektyw. Podział majątku przebiegł bez problemów. Oboje byliśmy dorosłymi ludźmi, którym nie zależało na rozdmuchiwaniu przeszłości. Z chęcią zrezygnowałem z atrakcyjnego mieszkania w centrum, w zamian za kilkaset tysięcy nowych złotych — większą część oszczędności, które przez czternaście lat udało się nam zgromadzić. Pensje akademickie nie były zbyt wysokie, ale z początkiem lat dziewięćdziesiątych z powodzeniem wykorzystałem szansę, jaką dawał wolny rynek i możliwość inwestowania na giełdzie. Byłem wdzięczny Monice za to, że pamiętała, kto pomnożył nasze pieniądze na parkiecie. Porządna z niej kobieta; miałem nadzieję, że uda się jej ułożyć jakoś życie. Pomimo swoich trzydziestu ośmiu lat wciąż była bardzo atrakcyjna. Tym bardziej atrakcyjna, że była córką nie byle kogo. Cóż, świat nie jest idealny.

Ostatnie dwa dni spędziłem na odwiedzaniu komisów samochodowych w poszukiwaniu auta odpowiedniego na lubelskie bezdroża. W końcu udało mi się znaleźć pojazd idealnie odpowiadający moim potrzebom — pięcioletniego, czarnego opla fronterę w całkiem przyzwoitym stanie. Oddałem w rozliczeniu mojego dwa lata młodszego golfa.

Wreszcie nadszedł czas odjazdu. Trochę wczorajszy po suto zakrapianym wieczorze, spędzonym w towarzystwie najbliższych wrocławskich znajomych, podczas którego obiecaliśmy sobie obłudnie, że będziemy w kontakcie, zapakowałem resztę rzeczy do mojego nowego nabytku.

Przed wyjazdem postanowiłem złożyć jeszcze jedną wizytę.

— Dzień dobry — rzekłem.

— Witaj, Marku — jej głos brzmiał całkiem naturalnie. Jeśli mam być szczery, nie tego się spodziewałem.

— Wstąpiłem, żeby się pożegnać — wyrecytowałem wcześniej przygotowaną kwestię.

— Przecież już dawno się pożegnaliśmy — uśmiechnęła się.

Czułem się jak idiota.

— Pewnie widzimy się ostatni raz. Chciałem tylko powiedzieć, że życzę ci jak najlepiej.

— Dzięki — odparła.

Pojawienie się w tym miejscu nie było chyba dobrym pomysłem. Miałem ochotę rozpląnąć się w powietrzu. Ponieważ to mi się nie udało, zacząłem rozważać, przez które ramię wykonać w tył zwrot.

— No, nie stój tak, wejdź. Kubek gorącej kawy przed podróżą pewnie dobrze ci zrobi. Wyglądasz, jakbyś wczoraj obrabował hurtownię z piwem.

Jak zwykle Monika niewiele się pomyliła. Z ulgą wszedłem do naszego... do jej mieszkania. Kawa była świetna i dobrze się nam rozmawiało. Prawie tak dobrze, jak kiedyś.

W ten właśnie sposób zakończyłem swoją przygodę z Wrocławiem.

* * *

Dwulitrowy silnik mruczał łagodnie pod maską. Zastanawiałem się, który to raz w tym roku przemierzam Polskę w poprzek. Pomyliłem rachubę po przekroczeniu dziesiątki, nie kłopotalem się jednak ponawianiem liczenia. Najważniejsze było to, że kolejnej takiej podróży miało nie być, przynajmniej przez jakiś czas. Nie kłopotalem się także dlatego, że ogromną frajdę sprawiało mi prowadzenie mojego nowego auta, za plecami miałem zachodzące słońce, a przed sobą... No właśnie. Nie miałem pojęcia, co było przede mną.

Uśmiechałem się do siebie jak urwis, który zamierza spłatać nowego psikusa. Gdyby nie Iwona, która jakiś czas temu zapomniała kluczy i wracając zastała mnie w niedwuznacznej sytuacji z piersiastą studentką, pewnie oglądałbym teraz grzecznie telewizję lub popijałbym nudną herbatkę z żoną. Jutro poszedłbym do pracy drżąc, żeby nie strzelić jakiejś gafki (zięciowi rektora nie wypada strzelać nawet gafek), nie mówiąc już o poważniejszych wpadkach. Potem wrócił-

bym, zjadłbym niesmaczny obiad i schował się za monitorem komputera udając, że mam masę roboty. Z mojej „pracowni” wywabiłaby mnie dopiero czołówka „Wiadomości”. W czasie wakacji zaszałelibyśmy i kopnęli się na Majorkę albo na Kanary, gdzie większość czasu spędziłbym w klimatyzowanym hotelu, nudząc się jak mops i marząc o powrocie do Polski. Jednym słowem, czekałoby mnie życie jak w Madrycie. I tak aż do usranej śmierci.

Moja męska intuicja mówiła mi, że teraz to wszystko się odmieni, że właśnie zaczynam żyć naprawdę — dorosły facet bez zobowiązań, ze sporą ilością gotówki na koncie, w małym drewnianym domu na końcu świata.

Wyczyny poprzedniego dnia dały znać o sobie i pilnie musiałem poskromić senność. Zatrzymałem się w przydrożnym barze, marząc o dużej czarnej. Nie wiem, jakich sztuczek używają właściciele takich całodobowych spelun, ale zawsze dam się nabrać. Po skosztowaniu burego płynu, za który zapłaciłem jak za kawę w dobrej restauracji, solennie sobie obiecałem, że tym razem to już naprawdę ostatni raz. Kupiłem dwie puszki zimnego Red Bulla — nowości na rynku, która miała przepełnić zmęczenie, odpaliłem silnik i ponownie wbiłem się w mrok.

Było już dobrze po północy, kiedy nad wschodnim horyzontem, dokładnie na wprost mnie, obudził się krwistoczerwony rógal księżyca. Uznałem to za dobry znak, podłączyłem radio i dodałem gazu.

3.

Podróżując z zachodu na wschód, urwałem nocy jakieś dwadzieścia minut ciemności. Niebo bladło, odkrywając przede mną niezwyklej kontur lubelskiej starówki. Po dłuższym zastanowieniu wspaniałomyślnie odpuściłem Hubertowi po-

budkę przed trzecią. Nie było większych szans na znalezienie o tej porze czynnego sklepu z materiałami budowlanymi, postanowiłem więc rozprostować nieco kości.

Lublin powitał mnie niespodziewanym chłodem. Zaparkowałem na placu Litewskim i spacerkiem ruszyłem w kierunku Starego Miasta. Miło było po raz kolejny oddać się wspomnieniom. Minąłem fontannę, w której, pijany prawie do nieprzytomności, nieomal utonąłem przed piętnastu laty, czcząc w ten sposób obronę pracy magisterskiej. Z centralnego punktu placu zniknął radziecki żołnierz, popularnie zwany Saszą. Miejsce, które zwolnił, pozostawało puste.

Na Krakowskim Przedmieściu czuć było delikatny powiew wielkiego świata. Przyśpieszyłem kroku; nie mogłem się doczekać chwili, kiedy znów zobaczę starówkę. W Lublinie bywałem dość często, jednak przed każdym wejściem na Stare Miasto czułem lekki dreszczyk ekscytacji.

Po przekroczeniu wilgotnej gardzieli Bramy Krakowskiej ujrzałem dobrze znany widok. Obdrapane, zagrzybione ściany, szare witryny sklepów, kocie łby, o które można sobie powybijać zęby. Odruchowo przysunąłem się do środka ulicy. Zawsze tak robiłem chodząc tędy, podświadomie obawiając się, że jakaś siedemnastowieczna gosposia wyleje mi na głowę wiadro pomyj.

Ukryty za gotyckimi murami obronnymi, ruszyłem obrzeżami starówki. Wąskimi, zaniedbanymi uliczkami wykonałem obowiązkową rundę śladem moich studenckich czasów. Tu, jak chyba na żadnej innej polskiej starówce, wciąż odczuwało się atmosferę średniowiecznego miasta. Przyszedł mi na myśl Wrocław, który wyglądał zupełnie inaczej, bardziej po europejsku. A tu wciąż w jednym z podwórek można było znaleźć tak zwaną Furtę Gnojną, przez którą wieki temu wylewano nieczystości poza mury miasta. Może to dziwne, ale ten klimat bardzo mi odpowiadał. Lubelskie Stare Miasto w dalszym ciągu nie zostało odkryte przez rzesze

japońsko-niemieckich emerytów, uzbrojonych w cyfrowe kamery i miniaturowe aparaty fotograficzne. Prawdę mówiąc, niezwykle mnie to cieszyło.

Jedną z uliczek dotarłem wreszcie do Rynku. W jego centralnym punkcie niewzruszenie stał przysadzisty budynek dawnego trybunału, w którym nie zawahano się nawet osądzić samego czarta, a niejaki Jan Kochanowski wyzionął ducha przed obliczem Batorego. Przypomniałem sobie też, że — już w czasach współczesnych — w tym budynku kilku z moich serdecznych kumpli zostało skazanych na piekło doczesne. Cóż, urząd stanu cywilnego, podobnie jak sąd, wpływa na ludzkie życie i również miewa swoje mroczne tajemnice.

Obchód zakończyłem na placu Po Farze. Słońce stało już wysoko, ciepłym spojrzeniem ogarniając budzące się ze snu miasto. W dali pojeżdżały trolejbusy, z bram zaczęły wytać się wymięci pijaczkowie, na znak, że za chwilę sklepy z piwem otworzą swoje gościnne podwoje. Spojrzałem na zegarek i uznałem, że czas wypoczynku przeznaczony dla mojego przyjaciela powoli dobiega końca.

4.

Przyciskając klawisz dzwonka przy drzwiach, niemal dorobiłem się odcisku na palcu wskazującym. Zaczynałem już bluźnić twierdząc, że biblijne „kołaczcie a otworzą wam” to zwyczajna lipa, kiedy za drzwiami rozległo się miarowe szuranie. Usłyszałem odgłos przekręcanego klucza i moim oczom ukazał się półnagi, potargany stwór. Hubert we własnej osobie nie wyglądał na specjalnie zachwyconego.

— Pojebało cię? — wymamrotał. — Wiesz, kurwa, która jest godzina?

Spojrzałem na zegarek.

— Piętnaście po piątej. Życie prześpisz — wyszczerzyłem zęby. — Znasz takie powiedzenie: „Gość w dom, Bóg w dom”?

— Właż, gościu, bo mi wszystkich sąsiadów pobudzisz — warknął, hamując uśmiech.

— A masz jakieś śniadanie? — zapytałem, mijając go w drzwiach. — Nie po to przejechałem taki kawał świata, żeby teraz na głodniaka siedzieć. I kawy dobrej bym się napił.

— Chyba ci pierdolnę na dzień dobry — rzekł.

Stary, dobry, pocziwy Hubert. Nic się nie zmienił przez te piętnaście lat. Na studiach nie miał sobie równych w rzucaniu mięsem. Dziwiliśmy się niepomierne, jakim cudem podczas egzaminów i kolokwiów udawało mu się nie używać „kurwy” zamiast przecinka. Jednak wyglądało na to, że w sytuacjach stresowych umiał się hamować. Zresztą, w przeciwnym razie nie zostałby chyba jednym z najmłodszych w historii profesorów Wydziału Prawa lubelskiego UMCS-u.

— Miłe powitanie. Mogę dać ci szansę i wejść jeszcze raz — powiedziałem wspaniałomyślnie.

— Masz, kurwa, szczęście, że moja Danuśka jest z dziećmi u teściów. Ona nie przywitałaby cię tak miło.

— Ale może przynajmniej nie stałbym przed drzwiami jak kretyń przez pół godziny — zakończyłem z udawanym przekąsem tę przyjazną pogawędkę. — Idę do łazienki, a ty ogarnij się jakoś, bo nie mogę na ciebie patrzeć.

Hubert przewrócił oczami i poczłapał do sypialni.

— Ja pierdolę, piętnaście po piątej... Piętnaście po piątej... rano... w wakacje... — marudził. — Ludzie sumienia nie mają! — ogłosił wreszcie światu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Nie powiem mu nigdy, jak bardzo się cieszę, że znów będziemy się widywać częściej. Miałem wrażenie, że ten facet nigdy mi się nie znudzi. Nawet wtedy, gdy będziemy pracować razem.

— Cóż, jeśli będzie inaczej, to będzie to tylko twoja zasługa — pomyślałem w kierunku sypialni z uśmiechem.
— W końcu sam załatwiłeś mi tę robotę.

Wyjąłem z torby kosmetyczkę zawiniętą w ręcznik i wszedłem do łazienki.

5.

Długi, gorący prysznic dobrze mi zrobił. Kiedy skończyłem, zapach kawy rozchodził się po całym mieszkaniu. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania, a z radia muzyka The Police. Na stole stały dwa kubki z kawą, w garnku gotowały się parówki. Hubert smarował chleb masłem. Kiedy wszedłem, podniósł głowę i zapytał:

— Chcesz się trochę przespać?

— Bardzo bym chciał, ale nic z tego — powiedziałem, zajmując miejsce przy stole. — Muszę jak najszybciej wyjechać z Lublina i zabrać się do roboty. Wcześniej potrzebuje jeszcze pokręcić się po sklepach budowlanych. Zanim zacznę myśleć o poważniejszym remoncie, chcę się trochę zorientować w kosztach. Słuchaj, może podjechałbyś ze mną? Pojęcia nie mam, gdzie można znaleźć takie rzeczy.

— Trafiłeś pod właściwy adres, kolego — uśmiechnął się. — Ale póki co, napij się kawy i zjedz coś. Przecież jeszcze przed chwilą wrzeszczałeś, że o niczym innym nie marzysz.

— Myślałem, że sam zamierzasz się gościć — odrzekłem. — Nie sądziłem, że taki sknera poczęstuje kogoś śniadaniem, nie mówiąc już o kawie z ekspresu.

— Nie znacie dnia ani godziny... — odparł filozoficznie. Dawno nie jadłem tak dobrych parówek.

* * *

Załatwiliśmy wszystko w niecałe dwie godziny. Okazało się, że jeden ze szwagrów Huberta prowadzi skład budow-

lany i sklep, w którym można znaleźć to, co potrzebne przy budowie lub remoncie domu. Wczesnym rankiem ruch był niewielki, więc Andrzej oprowadził nas po wszystkich interesujących mnie stoiskach. Tłumaczył dokładnie, a ja skrzętnie notowałem słowo po słowie. Wreszcie miałem już orientacyjny kosztorys i byłem ekspertem w remontowaniu starych, drewnianych domów. Nie przywiozłem z sobą zbyt wielu narzędzi, toteż dokupiłem od razu trochę brakującego sprzętu, kilkanaście puszek odpowiedniego impregnatu do drewna oraz kilka pojemników z białą farbą emulsyjną do malowania wnętrza. Andrzej okazał się po prostu nieoceniony. Gdyby nie on, pewnie spędziłbym w sklepach cały dzień.

Kiedy zajechaliśmy przed kamienicę Huberta, powiedziałem:

— Słuchaj, nie było nawet okazji spokojnie pogadać. Może przyjechałbyś do Wyrębów na parę dni, jak tylko trochę tam ogarnę?

— A co, potrzebujesz taniej siły roboczej? — roześmiał się.

— Na pewno nie takiej, która dziennie wyżłopie mi co najmniej skrzynkę piwa — odparłem z uśmiechem.

— Zobaczymy. Może w przyszłym tygodniu uda mi się wyrwać. Załatwiłeś już wszystko na uczelni?

— Prawie. Za dwa tygodnie mam wszystko dopiąć. Jak się do tej pory u mnie nie pojawisz, to wpadnę. Gdzieś tak parę minut po piątej — ostrzegłem lojalnie.

— Nawet mnie nie wkurwiał — znów się roześmiał. — Wejdiesz jeszcze na chwilę? — spytał, otwierając drzwi.

Wysiadłem, żeby się pożegnać. Miałem ochotę na następną kawę, ale jeszcze większą na to, żeby wreszcie rozpocząć dłubanie przy swoim nowym domu.

Kiedy Hubert małał we wstecznym lusterku, zastanawiałem się, czy położy się jeszcze do łóżka. W akademiku znany był z zamięłowania do długiego snu, obstawiałem więc,

że raczej jeszcze trochę sobie pośpi. Zazdrościłem mu, jak cholera. Miałem ochotę zostać w Lublinie, lecz obowiązki wzywały. Do końca wakacji musiałem przecież skończyć remont, a lipiec już prawie mi uciekł.

Wyjechałem z miasta parę minut po dziesiątej, unikając korków. Na zachodzie gromadziły się chmury, które po południu mogły przyciągnąć za sobą burzę. Podążałem nadal na północny wschód, mając nadzieję, że deszcz nie pokrzyżuje mi planów.

Jak się potem okazało, deszcz w Wyrębach spadł dopiero po dwóch tygodniach, jednak moje plany i tak wzięły w łeb.

6.

— Proszę się skupić i jeszcze raz, dokładnie przypomnieć sobie moment wyjazdu. Może jednak zapomniał pan nakręcić śruby mocujące którąś z okiennic od wewnątrz?

Policjant przyglądał mi się uważnie znad swojego notatnika.

— Nie wiem, ile jeszcze razy będę to panu powtarzał — wyteżałem siły, aby mój głos brzmiał jak najbardziej spokojnie. — Przecież mówiłem już parokrotnie, że niczego nie jestem bardziej pewien. Nie wyjeżdżałem na piętnaście minut, wiedziałem natomiast, że nie będzie mnie przez kilkanaście dni, więc przed wyjazdem dwa razy sprawdziłem, czy dom jest dobrze pozamykany. Wszystkie śruby mocujące okiennice były na swoim miejscu.

Policjant nabrał powietrza.

— Drzwi również sprawdziłem bardzo starannie — powiedziałem, zapewne uprzedzając jego pytanie.

— Aha... No tak — chrząknął nieco zbity z tropu.
— I wracając zastał pan cały dom dokładnie pozamykany?

— Tak, panie komendancie. Kiedy tylko zobaczyłem, co się stało, pozamykałem dom i od razu pojechałem do was zgłosić zdarzenie — mówiłem dużymi literami, mając nadzieję, że jednak mi w końcu uwierzy. — Potem wróciłem tutaj i czekałem, aż pan się pojawi.

Siedzieliśmy na taboretach, które pozostały jeszcze po poprzednim właścicielu. Moje rzeczy, które odjeżdżając pozostawiłem jak popadnie na środku pokoju, piętrzyły się przy jednej ze ścian, sięgając niemal do sufitu.

Komendant, który jeszcze na posterunku przedstawił się jako Ryszard Kościuk, sprawiał wrażenie zakłopotanego. W sumie za bardzo mu się nie dziwiłem. Zapewne jako szef gminnej policji w Kostrzewie nie miał do tej pory styczności z takim przypadkiem.

— Dobrze — najwidoczniej dał za wygraną. — Podsumujmy... Jest pan przekonany, że wyjeżdżając zostawił pan dom dokładnie pozamykany...

— Nie — wszedłem mu w słowo — jestem tego absolutnie pewien.

— Uhm — powiedział znów i coś tam nabazgrał w swoim kajecie. — Jest pan tego pewien. Jest pan również pewien, że nic nie zginęło?

— Nic.

— Dobrze pan sprawdził?

— Bardzo dobrze. Miałem mnóstwo czasu, zanim pan przyjechał — odparłem z przekąsem. — Przez cztery godziny zdążyłem wszystko dokładnie obejrzeć.

— Staram się panu pomóc. Może darowałby sobie pan te uszczypliwości? — Popatrzył na mnie z nieukrywaną niechęcią.

— Przepraszam — postanowiłem jednak złagodzić ton. Ten wielki facet nie wyglądał na takiego, do którego można bezkarnie pyskować przez dłuższy czas. Bystre, ruchliwe oczy pociemniały pod gęstymi, zmarszczonymi brwiami. Odchrząknąłem i ciągnąłem dalej:

— Wiem, że to wygląda idiotycznie, ale proszę mnie zrozumieć. Wracam po dwóch tygodniach do własnego domu, drzwi i okiennice są nienaruszone — tłumaczyłem po raz kolejny — natomiast rzeczy, które porzuciłem byle jak, zastają poskładane pod ścianą z pedantyczną dokładnością. Na dodatek nic nie zginęło. Nie potrafię tego wytłumaczyć, dlatego zgłosiłem się do was.

— Dobrze, panie... — zajrzał do notatnika — panie Leśniewski.

Moje kolejne cierpliwe tłumaczenie chyba trochę go udobruchało.

— Mam tu wszystko zanotowane. — Zamknął notatnik i pomachał mi nim przed nosem. — Postaramy się jakoś to wyjaśnić, choć muszę przyznać, że — delikatnie mówiąc — sprawa wygląda dość dziwnie. Nie ma szkód związanych z włamaniem, nie ma skradzionych przedmiotów. Jedyne zarzut, który można postawić, to naruszenie ładu... — zająknął się.

— Miru domowego — moja wiedza prawnicza na coś się przydała. — Proszę również pomyśleć o tym, że nie będę się teraz czuł tu zbyt bezpiecznie — powiedziałem. — Przecież to się może powtórzyć i tym razem włamywaczowi może nie chodzić o posprzątanie mi mieszkania. Poza tym, teraz przywiozłem kilka gadżetów, które bardziej mogłyby zainteresować złodzieja niż to, co zostawiłem poprzednim razem.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy — wstając, wypowiedział magiczną policyjną formułkę.

Prawie usłyszałem, jak taboret odetchnął z ulgą.

— W razie czego proszę nas informować. Podejdę jeszcze do pańskiego sąsiada, może on będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

Wiedziałem, że pocałuje klamkę. Zaraz po odkryciu tajemniczego włamania, a potem podczas czekania na policję, byłem u sąsiada chyba z pięć razy. Kościuk wrócił po kilku minutach.

— Zdaje się, że nikogo nie ma — oznajmił. — Postaram się zastać pana Jaszczyka innym razem.

Stałem w drzwiach wejściowych. Podszedł do mnie i uściśnął mi rękę. Odprowadziłem go do auta.

— Do widzenia panu — rzekł, wsiadając do policyjnego poloneza. — W razie czego proszę dzwonić.

— Ciekawe czym? — miałem ochotę spytać, lecz samochód ruszył i pytanie nigdy nie zostało wypowiedziane na głos. Pomimo że na moim koncie spoczywało sporo pieniędzy, nie zamierzałem kilku tysięcy złotych wydawać na telefon komórkowy wielkości i ciężaru pokażnej walizki. Tym bardziej, że w tej okolicy pewnie i tak nie było przekątnika.

Tak oto zostałem sam na sam z myślami kotłującymi się gorączkowo w głowie. Po jaką cholere ktoś wlaził do mojego domu? Po co zadał sobie tyle trudu i — przede wszystkim — jak to zrobił? Piwnicy nie było, niezagospodarowany strych nie miał okien. Jak to się stało, że wyszedł i zostawił dom dokładnie pozamykany? Postałem tak przez chwilę, łapiąc się na tym, że komicznie drapię się w czubek głowy.

— Duchy — powiedziałem. — Duchy jak nic.

W przedwieczornej ciszy mój głos nie zabrzmiał tak beztroško, jak planowałem. Z gałęzi drzewa, pod którym stałem, poderwał się ciemny kształt. Rozpoznałem charakterystyczną sylwetkę nocnego ptaka — sowy, prawdopodobnie puszczyka. Cień przeleciał bezszelestnie tuż nad moją głową i zniknął w zieleni sadu, pozostawiając po sobie delikatny podmuch powietrza, wyraźnie odczuwalny na odsłoniętym karku. W jednej chwili, sam nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie, że poprzedni właściciel zmarł w tym domu i jego ciało znaleziono dopiero po pięciu dniach. Durkacz Junior przed sprzedażą jakoś nie raczył o tym wspomnieć. Ale za to w pobliskiej gminie, podczas załatwiania spraw meldunkowych, życzliwa pani urzędniczka nie omieszkła ze szczegółami opisać, w jaki sposób jego ojciec pożegnał się ze światem.

Otrząsnąłem się z zamyślenia i pokręciłem z niedowierzaniem głową. Dorosły, wykształcony facet, a rozmyśla o duchach tak, jakby one rzeczywiście mogły istnieć. Przecież nigdy w takie głupoty nie wierzyłem i wcale nie miałem zamiaru tego zmieniać. Wierzyłem natomiast w to, że czasem ludziom przychodzą do głowy durne pomysły. Tak, wierzyłem w to tak mocno, jak dziewięćdziesięcioletnia babunia w odpust zupełny.

— No, panie Jaszczuk — odwróciłem się w kierunku sąsiedniego gospodarstwa — chyba będziemy musieli poważnie porozmawiać.

7.

Przez następnych kilka dni regularnie zachodziłem do leżącego nieopodal domu. Nikt mi nie otworzył, nie zauważyłem też jakichkolwiek śladów obecności gospodarza. Zasłony były szczelnie zasunięte, nie mogłem więc zajrzeć do środka. Gdy było już ciemno, ani razu nie widziałem palącego się światła; szyby patrzyły w stronę moich zabudowań pustymi, czarnymi oczodołami. Mój nowy sąsiad zniknął bez śladu.

W tych dniach mój zapal do remontowania domu nieco zmalał. Świadomość, że ktoś buszował w mieszkaniu podczas mojej nieobecności, odbierała chęć do pracy. Okazało się, że oaza spokoju nie jest tak bezpieczna, jak wydawało mi się na początku. Starąłem się jednak mobilizować najlepiej, jak potrafiłem. Ciągle wmawiałem sobie, że to z pewnością sąsiad, z nieznanых przyczyn, chciał zrobić mi kawał, a po wszystkim zrobiło mu się wstyd i postanowił przez jakiś czas nie pokazywać się w okolicy.

Tłumaczenie nie było zbyt przekonujące, jednak wystarczyło, aby nie spędzać czasu beczynnje. Pierwszą rzeczą,

jaką zrobiłem, było zamontowanie w drzwiach drugiego zamka. Tym razem był to najnowszy model „gerdy”. Sporo kosztował, lecz sprzedawca zarzekał się, że można go otworzyć tylko oryginalnym kluczem. Zapewnienia te przyjąłem dość sceptycznie. Powszechnie przecież wiadomo, że na każdy zamek znajdzie się specjalista. Nie miałem jednak podstaw, aby podejrzewać, że taki fachowiec znajdzie się akurat w Wyrębach. Jednak na wszelki wypadek przy drzwiach wejściowych umieściłem porządną, stalowy hak, zabezpieczający dom od środka.

Kiedy uznałem, że dom jest już bezpieczny, zabrałem się za remont. Zerwałem szalunek, odsłaniając półokrągłe drewniane bale. Po dokładnym ich oczyszczeniu i uzupełnieniu drobnych ubytków, dwukrotnie zakonserwowałem dom ciemnobrązowym impregnatem. Muszę przyznać, że budynek od razu zaczął wyglądać imponująco.

W środku również zadbałem o porządek. Wyniosłem na zewnątrz wszystkie meble, które uznałem za brzydkie lub zbędne. Zostawiłem między innymi starą rzeźbioną szafę, która zapewne pamiętała czasy międzywojenne, zdobiony kredens z lustrem, stary stół w kuchni oraz drewnianą ramę łóżka. Sienniki, na których pan Durkacz Senior dokonał żywota, rzecz jasna wylądowały przed domem jako pierwsze. Jak dotąd, przez cały czas spałem na podłodze, jednak wielkie łóżko kusiło. Nie mogłem się doczekać, kiedy położę na nim nowy, wygodny materac i wreszcie porządnie się wyśpię.

Wszystkie niepotrzebne rupiecie polałem benzyną i spaliłem.

Dom składał się z pięciu pomieszczeń i sieni. Zaraz za drzwiami wejściowymi, po prawej stronie, znajdowało się wejście do przechodniej kuchni, w której z kolei znajdowało się wejście do największego pokoju, mającego mi służyć za salon, sypialnię i pracownię w jednym. Na wprost drzwi wejściowych było wejście do niewielkiej łazienki. Po lewej

stronie znajdowało się dwoje drzwi; pierwsze z nich prowadziły do małej spiżarni, natomiast drugie — do niewielkiego pokoiku, który zamierzałem przekształcić w pokój gościnny. W sieni stała też drabina prowadząca do wjazdu, za którym znajdował się niezagospodarowany strych. Byłem tam kilka razy; jedynym pożytkiem płynącym z tych wycieczek było przeświadczenie, że remont dachu muszę przeprowadzić w pierwszej kolejności. Spomiędzy niektórych fragmentów eternitu prześwitywało niebo, a podłoga strychu wyraźnie zdradzała ślady wilgoci.

Wewnętrzne ściany domu starannie oczyściłem ze starych farb i pomalowałem na biało. Na koniec wyszorowałem podłogi i umyłem okna. Dom wreszcie nadawał się do mieszkania. Spisałem rzeczy, które powinienem kupić, na początku listy umieszczając armaturę łazienkową. Ta, która pozostała po poprzednim właścicielu, była w opłakanym stanie. Wypisałem też trochę mebli i naczyń.

Gdy porządki w domu uznałem za zakończone, zabrałem się za jego otoczenie. Wykosiłem trawę i uporządkowałem sad, paląc postrącane przez wiatr gałęzie. Na pierwszy rzut oka widać było, że nowy gospodarz zabrał się ostro do pracy.

Ani za dnia, ani nocami nikt mnie nie niepokoił. Co raz rzadziej myślałem o dziwnym incydencie i o sąsiedzie, który zniknął bez śladu. Wiedziałem o nim tylko tyle, że mieszka samotnie obok. Nie miałem pojęcia, w jakim jest wieku. Wyobrażałem go sobie jako starszego człowieka — najpewniej emeryta. Idąc tym tropem, zastanawiałem się, czy przypadkiem, po wysiłku i nerwach związanych z przetrzucaniem moich rzeczy, nie udał się do swojego domu, aby tam spokojnie kipnąć na zawał. Świadomość, że być może w sąsiedztwie od niemal tygodnia rozkłada się trup tajemniczego pana Jaszczuka, nie należała do najprzyjemniejszych. Uznałem jednak, że nie będę informował policji o jego zaginięciu. Byłem przekonany, że przy upałach panujących na przełomie lipca i sierpnia — o ile spełni się mój maka-

bryczny scenariusz — niedługo poczuję, że mój sąsiad ma się nie najlepiej. W dalszym ciągu, choć nie tak często jak po przyjeździe, zachodziłem na sąsiednie podwórko. Poza tym, nie chciałem nękać gminnych policjantów; i tak pewnie nie wspominali mnie dobrze. Zresztą sam fakt, że przez dwanaście dni żaden z nich nie pofatygował się do Jaszczuka, aby go wypytać w mojej sprawie, świadczył o tym, że nie potraktowali jej zbyt poważnie.

8.

— Pan Maarek Liśniecewskie? — Listonosz stał za drzwiami, trzymając w ręku gruby list formatu A-5.

— We własnej osobie — odparłem.

— Mam dla paana pulicuoony.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co chodzi. Spojrzałem jednak na przesyłkę i pojąłem, że ostatnim słowem był wyraz „polecony”. Pomyślałem, że musi minąć trochę czasu, zanim przyzwyczaję się do wschodniego „zaciągania”. Na dodatek wyglądało na to, że miałem przed sobą jednego z mistrzów w tej, powszechnej tutaj, sztuce.

— Proszę, niech pan wejdzie — otworzyłem szerzej drzwi.

— W taki upał chwila odpoczynku i parę łyków czegoś chłodnego na pewno dobrze panu robi.

Gdy patrzyłem na mokrą służbową koszulę i strużki potu spływające z czoła mojego nowego znajomego, byłem tego wręcz pewien.

Listonosz uśmiechnął się i „pudzinkuował”. Kiedy miał mnie w drzwiach, uznałem, że najprawdopodobniej zapomniał dziś rano użyć dezodorantu, lecz nie przeszkadzało mi to aż tak bardzo. W końcu minęły już prawie dwa tygodnie od mojego ostatniego kontaktu z żywym człowiekiem, jakim był mający mnie za wariata pan komendant.

— Ni buooi si pan tak saam... w šruoodku laasu...? — zagadnął mój gość, nalewając sobie do szklanki chłodne piwo.

— Nie ma czego się bać. Cisza, spokój... Nie to, co w mieście — uśmiechnąłem się.

Popatrzył na mnie nieco podejrzliwie.

— Nu, muooże, muooże...

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

— A teen tam... — kiwnął głową w stronę okna, za którym stał dom Jaszczuka — niee ma pan z nim publiee-mów?

— Dlaczego miałbym mieć problemy? — spytałem niepewnie.

— Aaa... różne rzeczy ludzie gadaajo. — Pociągnął kilka łyków.

— A dokładniej?

Zacząłem żałować, że zaprosiłem go do środka.

— Ja tam pluooteek puwtaarzał ni beede.

— No nic, trudno — odpowiedziałem. — Dużo ma pan jeszcze do rozniesienia?

— Na dziisiaj kuooniec — odrzekł, przechylając szklankę. — Inaaczej bym niee pił.

Zaproponowałem kolejne piwo, a potem jeszcze jedno. Po dwóch godzinach listonosz, kiwając się w przód i w tył przed domem, powiedział mi „du widzeenia” i, prowadzony przez rower, zygzakiem opuścił podwórko. Miałem wprawdzie nadzieję, że nie zechce spróbować, czy może w tym stanie jechać, lecz w tej chwili nie było to moim największym zmartwieniem.

9.

— Czy ja dobrze rozumiem? — mój głos drżał ze zdenerwowania. — Był pan u mnie dwa tygodnie temu i wiedząc

o tym, że Jaszczuk jest mordercą, nic mi pan nie powiedział?! — zakończyłem niemal krzycząc.

— Proszę się uspokoić. — Policjant wyglądał na zaskoczonego. — Proszę usiąść. To nie jest dokładnie tak, jak pan mówi...

— Jak to uspokoić?! Co niedokładnie?! Do cholery, wielkie dzięki! A może się go pan boi nawet przesłuchać i dlatego nie pojawił się pan...

— Nie ma pewności, że Jaszczuk miał coś wspólnego ze śmiercią tamtej dziewczyny — przerwał mi ostro. — I proszę się uspokoić, bo w ogóle przestanę z panem rozmawiać. Niech pan nie zapomina, że jest pan u mnie w domu.

Byłem wściekły, ale zrozumiałem, że jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, to rzeczywiście muszę trochę spasować. Postanowiłem jednak bardziej zaufać komendantowi, niż pijanemu listonoszowi, który po czwartym piwie zarzekał się, że Jaszczuk z zimną krwią zadźgał swoją byłą narzeczoną i zapali go chwilę później z zakrwawionym nożem w kieszeni. Usiadłem więc i możliwie najspokojniej powiedziałem:

— No więc, słucham...

Kościuk sięgnął po paczkę papierosów.

— Zapali pan?

— Nie, dziękuję. Powie mi pan wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

— Rozumie pan, że ta rozmowa musi pozostać między nami.

Nie rozumiałem, ale kiwnąłem głową, byle tylko szybciej zaczął.

— Facet jakieś trzydzieści lat temu miał postawiony zarzut. — Policjant z wyraźną przyjemnością zaciągnął się dymem. — Tyle, że nic mu nie udowodnili.

— Podobno siedział w więzieniu za morderstwo — powiedziałem.

— Jaszczuk był tymczasowo aresztowany, ale nigdy nie został skazany. Wie pan jak to jest, ludzie różne rzeczy ga-